

Marek Krajewski – prozaik, z wykształcenia filolog klasyczny, wykładowca akademicki (dr), autor serii powieści kryminalnych o Eberhardzie Mocku, „Śmierć w Breslau” (1999), „Koniec świata w Breslau” (2003), „Widma w mieście Breslau” (2005), „Festung Breslau” (2006), „Dżuma w Breslau” (2007), „Głowa Minotaura” (2009), Ludzkie zoo (2017), Pojedynek (2018), Golem (2019) rozgrywających się w przedwojennym niemieckim Wrocławiu, a także o lwowskim komisarzu policji Edwardzie Popielskim „Głowa Minotaura” (2009), „Erynie” (2010), „Liczby Charona” (2011), „Rzeki Hadesu” (2012), „W otchłani mroku” (2013), „Władca liczb” (2014), „Arena szczurów” (2015), Dziewczyna o czterech palcach (2019).



Fot. A. Łuc / Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”

Nie stąпам po cudzych śladach

z Markiem Krajewskim
rozmawia
Katarzyna Uczkiewicz

Łatwiej jest popełnić zbrodnię w Bay City czy w Breslau?

Dobre pytanie, odwołanie do Chandlera. To porównanie do Bay City jest dla mnie wielkim wyróżnieniem, ponieważ [Chandler](#) jest moim mistrzem, uważam go za wirtuoza literackiego, którego maestrii nigdy nie osiągnę.

Wracając do pytania: jaka jest zbrodnia w Breslau, w odróżnieniu od zbrodni w Bay City, w Paryżu, Moskwie czy w Ystad?

Nie ma żadnych różnic. W wyobraźni autora świat nawet najpiękniejszy, świat nawet najjaśniejszy, a niewątpliwie takim bezpiecznym, jasnym światem był świat przedwojennego Wrocławia, nawet taki piękny i jasny świat ulega swoistemu przedfiltrowaniu. Autor kryminału świat postrzega w czarnych barwach, ponurych. Bardziej interesują go ciemne zaułki niż przepiękne budowle, a takie zaułki można znaleźć wszędzie: i w [Bay City](#), i w Paryżu, i we Wrocławiu również. Te zaułki, te wilgotne, brzydkie, mroczne miejsca były i są dla mnie inspiracją i tam umieszczam akcję moich powieści. W tych zaułkach czai się najczęściej jakiś seryjny morderca.

Są jednak takie miasta, które mają specyficzną aurę. Weźmy np. powieści [Simenona](#): Paryż jest w nich katalizatorem zbrodni, zbrodnia się tam po prostu musi wydarzyć prędzej czy później. Czym wyróżnia się zbrodnia made in Breslau?

Niczym. To miasto nie miało żadnej kryminalnej specyfiki. Wręcz przeciwnie, było miastem zamożnym, bezpiecznym, pięknie zaprojektowanym, z wyraźnym i racjonalnym planem urbanistycznym, choć z drugiej strony przez Niemców



uważane za nieco prowincjonalne. Nasz uniwersytet był uważany za o wiele gorszy niż berliński. Było nawet przystawie, że prawdziwy berlińczyk musi pochodzić z Wrocławia. To znaczy, że prowincjusz w pierwszym pokoleniu mieszkający w metropolii chełpi się później, jakoby był w tej metropolii umocowany od pokoleń. Odpowiadając na pani pytanie: nie ma żadnej specyfiki. Akcja kryminału może rozgrywać się wszędzie, można wyobrazić sobie zbrodnię w najpiękniejszych rejonach świata, pod palmami, na plaży też się mogą zdarzać straszne rzeczy. W tym, że osadzam akcję powieści w [Breslau](#), jest pewien przypadek, ponieważ ja się we Wrocławiu urodziłem, pokochałem to miasto, a jeżeli miasto kochamy, to razem z jego przeszłością. Jeżeli kochamy człowieka, to musimy zaakceptować jego przeszłość, bo inaczej sobie z nim życia nie ułożymy. Podobnie miasto. Jeżeli miasto kochamy, to akceptujemy jego wielokulturowość, jego historię, niezwykłą, czasami trudną...

Można odnieść wrażenie, że wszystkie zbrodnie, które Eberhard Mock tropi, są do siebie w pewien sposób podobne. Tam jest taki klimat, nie powiedziałabym, że z Chandlera, raczej kojarzy mi się to z atmosferą „Zmierzchu bogów” Viscontiego. Z jednej strony wysoka cywilizacja, podszyta jednak specyficzną perwersją. Trochę tak, ma pani rację. Porównanie do Viscontiego jest dla mnie ogromnym komplementem, jako dla autora powieści kryminalnych.

„Zmierzch bogów” to też – w pewnym sensie – kryminał. Oczywiście, zgadzam się z panią. Kryminał jest to gatunek, który może być bardzo szeroko ujęty. W książce pt. „Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych” antropologowie Mariusz Czubaj i Wojciech Burszta umieścili na przykład książkę „Pałac zwłok” Ladislava Fuksa.

Albo taki Dostojewski... Oczywiście, „Zbrodnia i kara” to na pewno powieść kryminalna...

Wróćmy do klimatu Wrocławia w pana powieściach. Z jednej strony wyrafinowanie, z drugiej często wręcz tępą brutalność... To wszystko przypomina trochę „późnoweimarską” dekadencję bohaterów Viscontiego...

Rzeczywiście, szczególnie atmosfera lat dwudziestych wywarła na mnie wielki wpływ. Poznając historię społeczną Niemiec tamtego okresu zauważyłem różne zjawiska, które są interesujące dla autora kryminałów. Po pierwsze atmosfera dekadencji, która jest bardzo wyraźna. Po przegraniu przez Niemcy I wojny światowej doszukiwano się przyczyn tej przegranej w różnych sferach życia. Na przykład powstawały jak grzyby po deszczu sekty okultystyczne, które starały się wyjaśnić klęskę, czy znaleźć receptę na dalsze istnienie w takim a nie innym, okrojonym kształcie. Z drugiej strony w literaturze dotyczącej historii społecznej III Rzeszy jest takie pojęcie „Złote, dzikie, zwyrodniałe [lata dwudzieste](#): goldene, wilde, verdorbene Zwanziger”. Zwyrodniałe, zepsute, ale też złote, piękne. To atmosfera dekadencji, rozkwit narkomanii w miastach, kokainizmu przede wszystkim, rozwiązłość obyczajów bardzo widoczna wówczas. Proszę sobie wyobrazić, że w takim Berlinie było wówczas mnóstwo klubów, które świadczyły usługi skierowane do ludzi o bardzo wyrafinowanych gustach erotycznych, można powiedzieć, że prawie nieakceptowanych przez społeczeństwo. Nie mówię tu o klubach gejowskich, które wtedy działały, tylko o klubach, które zapraszały do siebie sadomasochistów i tak dalej, które to kluby były zamknięte dla przeciętnego berlińczyka, przychodzili tam tylko zaufani. Jeżeli tak było w Berlinie, to, zachowawszy wszelkie proporcje, mogło tak być i we Wrocławiu. Taki autor jak Henning Mankell osadza akcję w [Ystad](#), mieście, które liczy piętnaście tysięcy mieszkańców, a pojawiają się tam zwyrodnialcy, seryjni mordercy.

Statystycznie zbrodniarz jest tam niemal w każdej rodzinie.

Bo też po prostu to jest święte prawo autora kryminału. Nie musi trzymać się prawdy historycznej.

Mankell jest bardzo szwedzki. A Krajewski jest jaki? Polski, niemiecki, wrocławski?

Opisuję okres przedwojenny, a wtedy mniejszość polska we Wrocławiu liczyła według różnych szacunków od 5 do 15 tysięcy ludzi. To jest kropla w morzu. Są polskie akcenty choćby w mojej pierwszej powieści jeden z bohaterów dowiaduje się o swoich polskich korzeniach, to jest motyw bardzo istotny dla



całej akcji. Takie motywy są, ale starałem się przedstawić ten świat takim, jakim był, to znaczy, bez nadmiernego eksponowania roli [Polonii wrocławskiej](#), chociaż bardzo szanuje tych ludzi. Oni płacili daninę krwi za swoją polskość. Byli to bohaterowie nierzadko, a po wojnie byli niestety przez przybyszów ze wschodu bardzo często lekceważeni, bardzo często byli gnębieni, dręczeni, nazywano ich Hakenkreuzami, śmiano się z ich twardego niemieckiego akcentu. To jest straszne, ale to są konsekwencje wojny. W moich powieściach nie przesadzam z mniejszością polską we Wrocławiu. Muszę pani jednak powiedzieć, że już od pewnego czasu straciłem trochę serce do przedwojennego Wrocławia. I ostatnią moją książkę „Głowa Minotaura” osadziłem w międzywojennym Lwowie.

Odnoszę wrażenie, że to jest z pana strony trochę granie na nosie historii. Bo wszyscy wiemy, że w rzeczywistości to Lwów przyjechał do Breslau, a nie Breslau do Lwowa.

Czyli mój zwrot w stronę Lwowa postrzegałaby pani również jako odwołanie do lwowskiej tradycji Wrocławia?

Historia á rebours? W końcu Lwów to nie było miasto przypadkowo wybrane...

Oczywiście, to nie był przypadek. Jako scenerię moich powieści wybieram tylko te miasta, które kocham... A więc Wrocław, a więc Lwów. Wrocław z wiadomych względów – jestem wrocławianinem i z tym miastem związałem się na całe życie. A Lwów też kocham, dlatego że pięknymi opowieściami o Lwowie zostałem nasycony w dzieciństwie.

Podobno każdy wrocławianin pochodzi ze Lwowa...

Tak, jest taki stereotyp. Jest to, oczywiście, gruba przesada. Pamiętam badania języka mieszkańców Wrocławia: naleciałości dialektycznych i innych. Profesor Miodek i inni takie badania prowadzili i wynikało z nich wyraźnie, że tych lwowskich elementów jest wcale nie tak dużo. Mówi się, że [Wrocław to jest drugi Lwów](#) dlatego, że tutaj, we Wrocławiu piętno kulturowe wycisnęli naukowcy, dziennikarze, intelektualiści, którzy pochodzili ze Lwowa. Z Wielkopolski przychodzili tu na ogół ludzie prości. Z centrum Polski także. Na przykład mój ojciec – prosty człowiek, pochodzący z wielodzietnej rodziny



chłopskiej, który przyjechał do Wrocławia szukać lepszych szans dla siebie... Natomiast ze Lwowa przyjechał kwiat polskiej inteligencji. I dlatego ci ludzie wywarli tu takie piętno i dlatego się Wrocław ze Lwowem utożsamia. Ja mam z tym miastem silne związki rodzinne. Spod Lwowa pochodzi moja mama. We Lwowie przed wojną mój dziadek, ojciec mamy, był kelnerem. To wszystko byłoby nic, gdyby nie mój świętej pamięci wuj, Michał Obłąk, któremu dedykuję „Głowę Minotaura”. On opowiadał mi w dzieciństwie historie o Lwowie. Jako małe dziecko często chorowałem i moi rodzice nie zawsze mogli ze mną zostawać. Prosił wuj, brata mojej babci ze strony mamy z kresowej części mojej rodziny, już wówczas emeryta, o pomoc. Ów wuj, którego bardzo lubiłem i szanowałem, ukształtował mnie pod wieloma względami, także politycznymi, choćby nieustannie akcentując swoją niechęć do Sowietów i Rosji, to mi zostało do dziś. Otóż wuj opowiadał mi o cudownym mieście, o mieście – ogrodzie, mieście – parku, pełnym zieleni, pełnym przepięknych kamienic, mieście ludzi żyjących zgodnie ze sobą. Co trzeci mieszkaniec Lwowa był Żydem, co szósty Ukraińcem. Ci ludzie przynosili ze sobą różne kultury. I ci ludzie potrafili ze sobą żyć. Piękne, rozspiewane, cudowne miasto, tak mi wujek o tym mówił. Mijały lata i w 2007 roku pojechałem do Lwowa na targi książki, na promocję mojej drugiej książki „Koniec świata w Breslau”, która wyszła po ukraińsku. Pojechałem i wtedy opowieści mojego wuja stanęły mi jako żywo przed oczami. Zobaczyłem, że one były niektamane. Że entuzjazm i miłość mojego wuja do tego miasta są zrozumiałe, ponieważ to miasto warto kochać. I ja się w tym mieście zakochałem. Dlatego osadziłem akcję mojej ostatniej wydanej powieści we Lwowie.

Na moje następne pytanie właściwie częściowo już pan odpowiedział: dlaczego wybrał Pan tę a nie inną epokę?

Powód był niewątpliwie związany także z moim wykształceniem. Jestem filologiem klasycznym, przez wiele lat pracowałem na uczelni jako wykładowca łaciny, ściślej mówiąc gramatyki łacińskiej, językoznawstwa porównawczego w Instytucie Filologii Klasycznej i Kultury Antycznej. To mnie bardzo interesowało, bo byłem bliski studiowania matematyki. Lubię wyraźne struktury, jasne pojęcia. Ponieważ jestem filologiem



klasycznym, z nostalgią patrzyłem na te czasy, kiedy łacina była znakiem firmowym każdego polskiego inteligenta, kiedy ludzie kończący elitarne gimnazja klasyczne potem studiowali medycynę, nauki techniczne. To była pewna formacja, której już nie ma, pewna ukształtowana przez klasykę bardzo istotna część społeczeństwa polskiego. I siłą rzeczy tęskniłem do tych czasów, idealizowałem te czasy, kiedy w rozmowie między dwoma inteligentami polskimi nieuchronnie padały łacińskie zwroty, kiedy żaden redaktor w wydawnictwie nie wykreślał sformułowań typu eo ipso, albo pacta sunt servanda. Z drugiej strony ja jestem rocznik sześćdziesiąty szósty i moja młodość, ten najbardziej chłonny i najbardziej buntowniczy okres ludzkiego życia, lata nastoletnie, przypadały na ciemną noc stanu wojennego i wtedy, siłą rzeczy, ja i moi koledzy idealizowaliśmy trochę te czasy, kiedy Polska była w pełni wolna, czyli Polskę międzywojenną. I tak mi zostało.

Ale w pana powieściach nie ma Polski międzywojennej, to są międzywojenne Niemcy, w których zresztą łacina była także podstawą wykształcenia.

I dziś jest nią nadal. Co trzeci gimnazjalista niemiecki uczy się łaciny.

Dostrzegam u pana postawę zrezygnowanego profesora łaciny, który odpuszcza uczniom gramatykę, byle przynajmniej zapamiętali tych kilka cytatów. Trochę tych cytatów się w pana powieściach pojawia, nie tylko z łaciny, ale z zasobów kultury światowej, które są wrzucone w popularną konwencję. To jest próba ratowania ostateków tej spuścizny i przekazywania jej tym ludziom, którzy na pewno z własnej inicjatywy nie otworzą „Eneidy”?

Moim celem jest dostarczenie czytelnikowi godziwej rozrywki. Żyję z pisarstwa. Przy okazji, mimowolnie, czasami udaje mi się wyświadczyć jakieś dobro. Takim na przykład dobrem jest, jak niektórzy uprzejmi krytycy podkreślają, to, że się w minimalnym stopniu przyczyniam do normalizacji stosunków polsko – niemieckich. Minimalnie, na polu literatury popularnej. Niemcy mówią mi na spotkaniach autorskich, że cieszy ich to, że Polak przezwycięża niechęć, która przecież była dana mojemu pokoleniu, wychowanemu na serialu „Czterej pancerni i pies”. Cieszą

się, że taki człowiek sięga do przeszłości niemieckiej, że potrafi spojrzeć na swoje miasto bez tabuizowania jakichś części jego historii. To jest dobre. Ale nie to było moim celem. Nie pisałem moich książek po to, żeby przyczynić się do normalizacji stosunków polsko-niemieckich. Podobnie nie piszę po to, by zainteresować ludzi łaciną i kulturą antyczną. Ale wiem skądinąd, że moi czytelnicy zaczynają się tym interesować. Słyszałem, że – jeszcze kiedy były egzaminy wstępne na studia – kandydat na filologię klasyczną przyznawał się do inspiracji moimi powieściami. To wielka radość. To jest dobro i ono mnie raduje, choć wiem, że czynię je mimowolnie.

Jeżeli chodzi o historię Wrocławia, jest dosyć silny antagonizm między różnymi narracjami historycznymi pod hasłami polityki historycznej i paradoksalnie pańska narracja, ten cały wszechświat Eberharda Mocka, jest jedynym akceptowanym przez wszystkich. Jeżeli pojawia się krytyka, to umiarkowana. Nikt się za bardzo nie przyczepia.

Pojawiają się głosy, które są dla mnie krzywdzące, które mówią, że Krajewski uczestniczy w regermanizacji. Jest to oczywiście absurd. Protestuję przeciwko takim opiniom, są nieprawdziwe i absurdalne. Akceptowanie miasta z całą jego historią nie znaczy, że ktoś, kto ją akceptuje, chciałby, żeby jej część nagle stała się teraźniejszością. Natomiast zdarzają się reakcje inne. Na przykład zawsze po ukazaniu się mojej kolejnej książki w „Gazecie Wrocławskiej” ukazuje się list niejakiego „pana Władysława”, który radzi Krajewskiemu, by wykorzystał swój niewątpliwy talent do opisywania dzielnych milicjantów, walczących z bandami na Dolnym Śląsku, z *Werwolfem*, na przykład. Świetnie, to jest ciekawy temat. Dziękuję panu Władysławowi, natomiast z całą pewnością sam dokonam wyboru tematu moich następnych powieści, scenerii i czasu również. To jest autonomiczne prawo każdego pisarza. Chociaż zdarza mi się bardzo często spotykać czytelników, którzy podsuwają mi rozmaite pomysły. Niektóre są bardzo ciekawe. Także jeżeli pan Władysław opowiedziałby mi ciekawą historię o walkach Milicji Obywatelskiej z *Werwolfem*, to czemu nie. Chociaż z drugiej strony miałbym pewne opory przed tym, żeby zrobić z milicjanta z lat czterdziestych, pięćdziesiątych, bohatera pozytywnego.





Chyba, że byłby z przedwojennej szkoły. Mógłby na przykład przyjechać tu, ocalawszy cudem, ze Lwowa...

Cudem, dobrze, że pani to powiedziała, bo raczej skończyłby w Katyniu. Z bohaterem o policyjnej przedwojennej przeszłości miałbym jednak problem. Trzeba by dokonać karkotomnych sztuczek, bo jednak aparat represji i UB miało doskonałe informacje i tacy ludzie nie mogliby raczej zrobić kariery w milicji. Słyszałem o takim wypadku, kiedy pewien policjant z Kresów został milicjantem w Stupsku i niedługo się cieszył swoją karierą. Szybko go zamknęli i po straszliwych torturach przyznał się, że jest agentem jakiegoś wywiadu. Także raczej wzdragałbym się przed tym, by z milicjanta robić bohatera, chyba że byłby Wallenrodem. To byłoby interesujące, ale jak na razie mam inne plany.

Wróćmy do przedwojennego Wrocławia. Pan bardzo dokładnie, szczegółowo to miasto opisuje. Zresztą nie tylko miasto, także obyczaje, rodzaje broni używane przez policję, nazwiska. Tymczasem na przykład Agatha Christie twierdziła, że jej czytelnikom jest wszystko jedno, czy się pomyli w nazwie ulicy, albo w rodzaju trucizny, byle było dużo trupów. Skąd u pana taka pieczołowitość? Czy to cecha właściwa naukowcowi...?

Pieczołowitość opisu jest czymś bardzo wskazanym i niezwykle ważnym w literaturze. Niedawno czytałem „Salombo” Gustawa Flauberta i byłem zachwycony. Tam są dopiero szczegółowe, dokładne opisy! Moja dokładność wynika po pierwsze z naukowych zwyczajów. Jestem człowiekiem, który przywiązuje wielką wagę do szczegółów, w każdej sytuacji. Na przykład przy opisie jakimkolwiek, choćby kulinarnym, albo makabrycznym – żeby opisać człowieka rozciętego na pół uczestniczyłem w sekcji zwłok, żeby to widzieć, żeby móc opisać jaki ma kolor ludzki tłuszcz, jak wygląda wątroba, śledziona... to wynika z mojej dokładności, taki jestem zawsze. W życiu prywatnym również jestem pedantem.

Mam wrażenie, że we Wrocławiu wiele osób pieczołowicie śledzi i rekonstruuje pozostałości niemieckie. Krakus na przykład nie odczuwa potrzeby, by historyczne miejsca szczególnie opisywać, one po prostu są i to jest oczywiste. Tymczasem wrocławianin jakby doszywał sobie korzenie, śledząc pozostałości niemieckie, oswajając historię, która nie jest przecież jego historią.

Tak jest, ale to dotyczy jednego pokolenia, jak sądzę. Pierwszego pokolenia ludzi urodzonych we Wrocławiu. Moi rodzice mieli poczucie tymczasowości. Mieszkali w obcym mieście, mieście zrujnowanym. Ja i moi koledzy w pierwszym pokoleniu urodzeni we Wrocławiu po pierwsze tego poczucia tymczasowości nie mieliśmy. To było nasze miasto. Nikt nie przypuszczał, że będziemy musieli je opuścić z powodu jakichś zawirowań politycznych. Ale jednocześnie czuliśmy się w tym mieście dość obco. Przewyciężyliśmy poczucie tymczasowości, które mieli nasi rodzice, ale ciągle nie pozbyliśmy się poczucia obcości. W związku z tym ludzie szukali swoich korzeni. Jeżeli te korzenie nie były rodzinne, to szukali tożsamości topograficznej. Tak jak ja. Kiedy dowiedziałem się, że ulica Żelazna, na której mieszkałem, nazywa się [Martin – Opitz – Strasse](#) i w księdze adresowej znalazłem nazwiska poprzednich lokatorów mojego mieszkania, to znalazłem – sit venia verbo – element mojej tożsamości topograficznej. Moje korzenie rodzinne rozchodzą się w różnych kierunkach. W przypadku ojca do Piotrkowa Trybunalskiego, w przypadku matki pod Lwów, ale tutaj się zakorzeniałem szukając śladów życia innych ludzi, o innym języku i innej kulturze, którzy byli tu przede mną. Ale moje dzieci, młode pokolenie, już prawie w ogóle nie odczuwa takich potrzeb, ponieważ oni są po prostu u siebie, nie mają poczucia obcości.

Eberhard Mock chodzi pana śladami, wydeptuje pana ścieżki we Wrocławiu. I mieszka tam, gdzie pan mieszka, i pracuje tam, gdzie pan pracował. Czy w ten sposób zaznacza pan swój trop? Nie. Nie chodzi o to, że chciałbym zabezpieczyć mój ślad we Wrocławiu, ale o to, że osadziłem Mocka w krainie mojego dzieciństwa. Ten okres spędziłem najpierw na Żelaznej, potem na Teatralnej. Moja okolica była raczej owiana złą sławą, a ja pamiętam, że niczego się nie bałem, byłem po prostu u siebie, znałem wszystkich. Wprawdzie były walki między podwórkami, czasami dość krwawe, brałem w nich udział, ale nie identyfikowałem tej dzielnicy jako dzielnicy złej. Po latach dowiedziałem się ze zdziwieniem, że była tak postrzegana przez innych. Toteż kraina dzieciństwa zagościła w moich powieściach. Mock mieszka na placu [Pereca](#), idzie Martin – Opitz – Strasse czyli ul. Żelazną. To było trochę nieświadome, ale też i uzasadnione. Nieuświadomiony, ale uzasadniony powrót do krainy





mojego dzieciństwa. Mówię: uzasadniony, ponieważ tam się zachowało trochę starej substancji mieszkaniowej – budynki, kamienice, którym się dziwiłem w dzieciństwie, bo na przykład na moich drzwiach był napis „Briefe” a nie „listy”, spod tynku, który odpadł z sąsiedniej kamienicy, wytonił się napis gotykiem „Obst und Gemüse” – owoce i warzywa. Te miejsca bardzo wryły mi się w pamięć, były bardzo ważne dla mojej biografii. Choćby niedaleki stadion Śląska Wrocław, gdzie się chodziło na mecze, na Oporowską. To, że Mock pracował w Prezydium Policji na Szewskiej, to był zupełny przypadek. Ja nie wiedziałem o tym, że na Szewskiej było Polizeipraesidium. Któregoś dnia, kiedy pisałem pierwszą książkę „Śmierć w Breslau”, poszedłem do Gabinetu Śląsko-Łużyckiego Biblioteki Uniwersyteckiej i wzięłem niewłaściwy tom księgi adresowej. Zamiast z 1934 roku – 1928. I widzę Polizeipraesidium na Schuhbrücke – dziś ul. Szewska, chociaż zawsze kojarzyłem Prezydium Policji w dzisiejszą Komendą Wojewódzką na Podwalu. Nie wiedziałem, że komendę na Podwale przeniesiono pod koniec lat 20., a wcześniej była na Szewskiej.

Czy Mock wyciągnął kiedyś pana w takie rejony, w których pan nigdy wcześniej nie był?

Tak. Właściwie można powiedzieć, że znam każdą dziurę we Wrocławiu, każdy kamień i każde podwórko, ale nie znam na przykład Wyspy Opatowickiej. I nie wiedziałem w ogóle, jak Wrocław wygląda od strony Odry. Jak dziecko może tylko raz udałem się statkiem na przejażdżkę po Odrze i nie zachowałem z niej jakichś wyraźnych wspomnień. W powieści „Widma w mieście Breslau” miejscem zbrodni była Wyspa Opatowicka koło Jazu Opatowickiego. Nigdy tam wcześniej nie byłem. Chciałem, żeby to była jakaś wyspa, a najbardziej spektakularna wydawała mi się Wyspa Opatowicka, ponieważ to jest daleko od miasta, tam niedaleko była tzw. Przystań Wilhelmińska, był tam stary dom, był dom publiczny także, a więc ciekawa sceneria. Najpierw wszystko zobaczyłem na mapie, a potem pojechałem tam, zobaczyłem, mało tego, wynajęłem motorówkę i pływałem dookoła.

Opisuje pan Wrocław ze szczegółami i czytelnicy panu wierzą. Oni wierzą, że tak wyglądał Wrocław międzywojenny i zapewne



95 procent nie sięgnie nawet po popularne opracowania historyczne, choćby „Mikrokosmos” Davisa. Nie czuje pan ciężaru spojrzenia Historii, która patrzy, co pan z nią robi?

Nie, nie czuję. To jest bardzo miłe, że czytelnicy traktują moje powieści jako swoiste przewodniki historyczne po Wrocławiu. Aczkolwiek jeżeli by poznawali historię miasta wyłącznie na podstawie moich powieści, wykazałoby się pewną niefrasobliwością.

Często tym się właśnie wykazują...

To nie są podręczniki historii. Ponadto popełniam wiele błędów, jak każdy człowiek, który pracuje. Kilka błędów mi się zdarzyło, niektóre były kompromitujące, choć zwykły czytelnik by ich nie zauważył. Na przykład napisałem w pierwszej powieści, że młodzi ludzie spotykali się pod pomnikiem Wilhelma II. Mój kolega Gregor Thum, pierwszy Ambasador Wrocławia, powiedział mi: „Marek, nikt by Wilhelmowi II pomnika nie postawił”. Opisany przeze mnie pomnik postawiono oczywiście **Wilhelmowi I**. Czytają moje książki rozmaici entuzjaści, hobbyści, znawcy takich czy innych zagadnień. I pisze do mnie znawca militariów, że nie używano wówczas takich pistoletów tylko inne. A inny, znawca historii kolejnictwa, zarzuca mi, że napisałem o bezpośrednim połączeniu kolejowym z Wrocławia do Wiesbaden, a takowe nie istniało. On to wie, bo jest specjalistą, a ja nie. Ale trudno, nie przejmuję się tym, a wręcz cieszę się z tych uwag.

Bohater powieści Chandlera Philip Marlowe urodził się – jak twierdził autor – w wieku 39 lat i w takim wieku pozostał. Jest niezmienny, jakby poza czasem. Tymczasem Eberhard Mock się starzeje, Mock się zmienia, a miasto zmienia się wraz z nim. Jest osadzony w historii i pana powieści zastępują popularny podręcznik historii. Więcej ludzi zna realia oblężenia Festung Breslau z pana powieści, niż z kroniki Peikerta.

Jako autor muszę zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu moich powieści. Nie mam ani kompetencji ani ambicji, żeby moje powieści były traktowane jako podręcznik historii. Człowiek musi odróżnić beletrystykę od historii.

Jednak po literaturę popularną sięgają także ludzie, którzy innych rzeczy nie czytają.

Ale czy ja miałbym się poczuwać do jakiejś odpowiedzialności?

Przeciwnie, myślę, że mógłby pan trochę „zamieszać” i niespodziewanie wstawić do powieści jakiegoś Wilhelma z Baskerville. Nie tworzę literatury fantastycznej ani nie stąпам po cudzych śladach.

Mock staje się powoli wizytówką – twarzą Wrocławia. Zapętnia pustkę na odcinku wrocławskich bohaterów zbiorowej wyobraźni... Po Wrocławiu śladami Mocka chodzą wycieczki tematyczne i ci ludzie chcą zobaczyć miasto takie, jak pan je opisał.

Rzeczywiście, ktoś wymyślił, że to będzie dobry sposób na promowanie miasta. Jest to strategia marketingowa Biura Promocji Miasta, które sobie wymyśliło, że jeżeli są wycieczki śladami Sherlocka Holmesa to mogą i być śladami Eberharda Mocka. To jest świetne turystyczne urozmaicenie. A teraz wróć do motywu mitu. Dla mnie mity to są motywy uniwersalne. Oczywiście ja sam patrzyłem na niemiecką historię Wrocławia także jako na pewien mit. Ale teraz mam dość tego mitu. Ja od niego odchodzę. Zatracił już – dla mnie osobiście – swoją uniwersalną siłę. Dlatego moja ostatnia powieść jest częściowo osadzona we Lwowie. Odszedłem od Mocka, a jak będzie dalej, nie powiem. Moja kolejna powieść ukaże się w przyszłym roku w kwietniu, ale nie powiem, kto jest bohaterem i jaka jest sceneria. Już raz miałem zamiar odejść od Mocka.

Tak pan deklarował. Ale okazało się, że Eberhard Mock jest jak ta doświadczona primabalerina, która nie może się rozstać ze sceną i co raz to daje ostatni występ...

Po czterech powieściach deklarowałem, że z Mockiem koniec, schluss. Napisałem wówczas powieść współczesną wrocławską. To miało być siedem dużych opowiadań pod tytułem „Siedem grzechów głównych”. Ale to okazało się słabe. Napisałem trzy opowiadania, każde po ponad sto stron i byłem z tego niezadowolony. Opis współczesnego Wrocławia, lokale w których bywam, moje pokolenie, moi znajomi, ich problemy małżeńskie i uczuciowe, bardzo mocno osadzone we współczesności historii, różne zawody, menadżerowie, lekarze, ale to było słabe literacko. Pomyślałem sobie: chowam to do szuflady, a dalej będę pisał to, w czym jestem dobry i powstała książka



„Dżuma w Breslau”. W powieści „Głowa Minotaura”, przenosząc akcje do Lwowa, dokonałem liftingu mojej twórczości.

Wróćmy zatem do Wrocławia, który pan literacko porzucił w ostatniej książce...

Nie powiedziałem, że porzuciłem, może to było chwilowe odejście. Nie wie pani przecież, czy akcja mojej powieści „Erynie”, która się ukaże w kwietniu 2010, nie będzie się znowu toczyć we Wrocławiu czy gdzieś indziej.

Jaki jest Wrocław Marka Krajewskiego?

To jest miasto mojego dzieciństwa, mojego życia, moich wspomnień. Miasto, w którym każda dzielnica, każde osiedle, zawiera jakieś osobiste wspomnienia: budynek liceum, za którym paliłem papierosy i dyskutowałem o poezji Wojaczka i o sytuacji politycznej w Polsce. Na skwerze na Gajowicach leżałem na trawie w ciepły, upalny dzień, kiedy kupiłem książki do siódmej klasy szkoły podstawowej, i przeglądałem podręcznik do fizyki. Kiedy jadę przez miasto, widzę miejsca, gdzie studiowałem, wynajmowałem mieszkania, robiłem to, robiłem tamto. Jest w nich zapisana moja biografia.

Wrocław się w tej chwili bardzo zmienia. Nie obawia się pan, że stary Wrocław, Breslau Eberharda Mocka, zniknie pod naporem niezbędnych estakad, obwodnic, centrów handlowych i biznesowych?

Nie, na pewno nie. Wystarczy spojrzeć na to, jak władze Wrocławia z prezydentem na czele dbają o starą substancję mieszkaniową. To jest coś wspaniałego: idziemy ulicą Prusa i widzimy półokrągły Dom pod Złotym Słońcem, wychodzę na mój balkon i widzę jedynie budynki, które powstały przed 1945 rokiem, i wiele z nich jest pięknie odnowionych. Kiedy idę ulicą Norwida, to momentami mam wrażenie, że jestem w Berlinie albo w Wiedniu. Nie wierzę zatem, że ten stary Wrocław zniknie. On zawsze tu będzie, zawsze będzie do nas przemawiał z otchłani swych historycznych dziejów.

